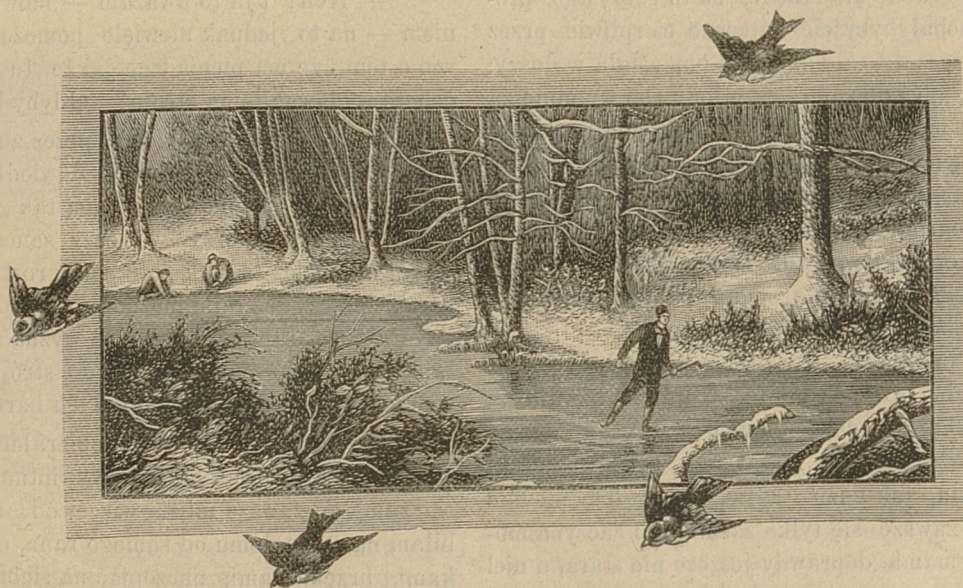




## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### Opowiadanie pani Augustowej.

(Z pośmiertnych rękopisów)

M. J. Zaleskiej.

Państwo Wireccy, mieszkający na wsi w okolicach Radomia, mieli dwie córki dorastające na pensji w Warszawie. Panienki te, jadąc na wakacje do domu, zwykle za pozwoleniem rodziców zabierały z sobą parę uboższych koleżanek, mieszkanek miasta, dla których pobyt na świeżem powietrzu był dobrodziejstwem prawdziwym. W sąsiedztwie było także kilka panienek w tym wieku, a dobrane to grono często zgromadzało się razem w gościnnym domu państwa Wireckich.

Raz przed wieczorem panienki wyszły do ogrodu i usadowiły się w pięknym, ustronnym miejscu pod lipą, gwarząc

z ożywieniem. Pochwili nadeszła bratowa pana Wireckiego, którą dla odróżnienia od gospodyni domu zwano panią Augustową. Córka jej Andzia miała dopiero lat dwanaście, lecz chociaż młodsza znacznie od innych, piętnasto i szesnastoletnich, bardzo była w ich towarzystwie szczęśliwa, bo też miłe i dobrze wychowane panienki nie dawały jej nigdy uczuć swojej wyższości. Widząc zbliżającą się matkę, Andzia zawołała głośno:

— Zapytajmy mateczki, mateczka to musi wiedzieć.

Pani Augustowa, osoba młoda jeszcze, miła i wesola, zbliżyła się i siadając na ławeczce, zapytała z uśmiechem, o co idzie.

— Ach! pani się z nas śmiać będzie — rzekła z lekkim zawstydzeniem jedna ze starszych panienek, przybyłych z Warszawy; ale Andzia z dziecinną gadatliwością i niedomyślnością ani zważając na to, ciągnęła dalej:



— Jadwisia powiada, że na wielkich balach, przy bardzo rześmistem oświetleniu, wszystkie panie muszą kłaść troszkę różu i pudrem lekko twarz przysypać, bo wyglądałyby trupio blade.

— A ja utrzymuję — odpowiedziała Martynka Wirecka, najstarsza córka gospodarstwa, że to chyba jakieś wymokłe miejskie piękności takich sztucznych środków upiększenia używają, ale żeby wszystkie panie, to chyba niepodobna.

— Że nie wszystkie, za to mogę zaręczyć — odrzekła p. Augustowa — bywałam w Warszawie na najświetniejszych balach, nigdy jednak w życiu nie używałam różu, ani nawet pudru.

— Ani pudru? — ze zdziwieniem spytała Jadwisia.

— Ba! stryjenka taka ładna i dziś jeszcze, a cóż dopiero musiało być dawniej! — ozwała się Lunia, młodsza siostra Martynki — ale jeżeli komu, jak to mówią, natura wdzięków poskąpiła, to cóż ma robić? Odrobina blanszu i różu, ołówek jakiś, a zaraz człowiek inaczej wygląda. Ach! stryjenka się śmieje, a może jeszcze mnie wyłaje porządnie za to, że gorszą Andzię...

— Nie, nie, bądź spokojna — mówiła p. Augustowa, która rzeczywiście rozśmiała się serdecznie, słuchając słów Luni — wszak mię znasz i wiesz, że nie lubię prawić morałów, nawet i Andzi. Bo do czego to się może przydać? Gdybym wam tu najwymowniej w świecie dowodzić zaczęła, że o wdzięki ani o stroje dbać nie należy, że to wszystko próżność próżności, słuchałybyście zapewne cierpliwie przez grzeczność i nie zaprzeczały, ale każdaby pomyślała w duszy: dobrze to mówić, a kiedyś dawniej, za młodu (bo wy mnie za starą uważacie) sama niezawodnie całkiem inne miała przekonania. I słuszniebyście mnie osądziły bo w rzeczy samej, w waszym wieku będąc, tyle miałam próżności, tak namiętnie lubiłam stroje, tak ogromne znaczenie przywiązywałam do powierzchownych zalet, że doprawdy aż mi wstyd, jak sobie to przypomnę. Jeżeliście ciekawe, moje panienki, to wam opowiem, jakim sposobem się z tego uleczyłam.

— O, prosimy, prosimy! — zawołano jednogłośnie.

— Matunia była próżna i lubiła stroje? — ozwała się Andzia, kręcąc główkę z niedowierzaniem — jakże to dawno być musiało, mój Boże! Tatuś nieraz tak prosi mateczki żeby się ładnie ubrała, jak gdzie jedzie, żeby włosy modnie uczesała, a matusia zawsze się tylko zaśmieje i zaczyna mówić o starości, choć mama doprawdy jeszcze nie stara, o nie!

— I cóż to stryjenkę uleczyło z tej próżności? — pytała Martynka — ciekawa jestem; bo przecież nie morały,

— O, nie, nie wierzę ja wcale w skuteczność morałów. Ale zaczynam opowiadanie. Utraciłam bardzo wcześnie obojga rodziców, na szczęście siostra rodzona mojej matki, sama bezdzietna, zabrała mnie do siebie i najczulszą otoczyła troskliwością. Mąż jej, równie zacny i dobry, opiekował się znów najgorliwiej mojem mieniem, bo znaczny spadek pozostał mi po rodzicach i byłam uważana za „bogatą dziedziczkę”, o czem bardzo dobrze wiedziałam.

Ciotka i wuj mieszkali w Warszawie, nie potrzebowałam więc domu ich opuszczać dla nauki, chodziłam na pensję; po ukończeniu wszystkich klas, ponieważ miałam dopiero lat szesnaście, brałam jeszcze lekcye różnych przedmiotów od najlepszych nauczycieli, a lubiłam naukę i zdolności mi nie brakło. Lecz większe podobno zamiłowanie miałam do stroju, sama nie wiem, skąd go nabrałam, bo ciocia, chociaż jesz-

cze niestara, ubierała się skromnie, nad wiek poważnie i nie było w niej cienia tego, co w braku swojskiego wyrażenia nazywamy „pretensją”. Z przyjemnością podtrzymywała stosunki z niezbyt licznem kółkiem bliższych znajomych, ale wielkiego świata, zebrań publicznych, unikała. Nie nudziła się, bo brała udział w różnych dziełach dobroczynnych, a gorliwie podjęte obowiązki spełniała.

Gdy jednak ja ukończyłam pensję, zdjęłam mundurek i wyszłam na dorosłą pannę, ciocia coraz częściej zaczęła wspominać o tem, że trzeba będzie zmienić trochę tryb życia i mnie wprowadzić w świat, jak to mówią. Raz podsłuchałam przypadkiem rozmowę ciotki z wujem, któremu podobno ta zmiana cichego dotąd trybu życia niezbyt do smaku spadała.

— Gdyby była naszą córką rodzoną — mówiła ciocia — to co innego, powinnaby się do naszych upodobań stosować i nicby na tem zapewne nie straciła; nie jestem ja zwolenniczką zbyt światowego życia dla młodych panienek, ale widzisz, opieka nad sierotą — to taka wielka odpowiedzialność. Irenka jest ładna, bogata, gdybym ją pozbawiła przyjemności, których używają inne panienki w jej położeniu będące, możeby żal miała do mnie.

— Zapewne — odrzekł wuj — ale czy nie uważasz, jak ona przesadnie czasem się stroi? Obawiam się, aby nie była zanadto próżną.

— Ach! i ja to uważam — mówiła ciocia z westchnieniem — na to jednak niewiele pomoże przymus ani morały; wie o tem, że ma pieniądze, jakże tu odmawiać jej, gdy ma ochotę wydawać je na stroje? Gdyby była moją córką...

Kochana, dobra ciocia przez zbyt przywiązania dla mnie zapominała, że właśnie dowiodłaby mi najlepiej tych uczuć, gdyby postępowała zemną tak zupełnie, jak z rodzoną córką. Chociaż morały w rzeczy samej nie na wiele się przydadzą, młodzież jednak potrzebuje roztropnego kierunku starszych, należy też o ile możliwości strzedz ją i chronić od złych zwyczajów. Ja zaś, muszę to wyznać ze wstydem, zaczynałam już w tem zamiłowaniu do stroju i pielęgnowaniu powierzchowności dochodzić do złych bardzo zwyczajów.

Niedość, że na suknie dobierałam materyałów bijących w oczy jaskrawością barw i wykwintnością, a modele najdziwniejsze zawsze mi się więcej od innych podobały, ale lubiłam nawet w domu od samego rana, obwieszać się świecidełkami, brzękadłami, naczepiać na siebie ozdób rozmaitego rodzaju. Godzinami nieraz siedziałam przed zwierciadłem, upinając to wszystko, układając i przypatrując się z zadowoleniem, jak to lśniło, błyszczało, migotało. Zaczęłam także myśleć o upiększeniu mojej twarzyczki, chociaż nie była tak szpetna aby tego potrzebowała, mogę to już bez próżności powiedzieć. Najpierw tedy kupiłam sobie pudełeczko jakiegoś pudru, bardzo zachwalonego w ogłoszeniach „Kuryera”, w ciotkę wmawiałam, że mam różne wyrzuty, swędzenie to na nosie, to na skroniach, i koniecznie potrzebuję tego posypywania; próbowałam też, czy nie będzie mi do twarzy przypruszyć troszkę ciemne włosy na sposób staroświecki. Nareszcie... ach! Andziu, nie śmieć się z rodzonej matki, nabyłam w wielkim sekrecie przed ciotką parę ołówków do podmalowywania brwi i rzęs.

Nie wiem doprawdy do czegooby to było doszło, gdyby ciocia nie wynalazła wyborowego sposobu uleczenia mnie z tego obłądu. Bo to jest obłąd prawdziwy; najpierw wszystkie te



środki, niby to upiększające, w rzeczywistości szpecą każdą twarz, ładnej wdzięk odejmują, a brzydką czynią jeszcze brzydszą. Następnie takie rzeczy nigdy się nie ukryją; ludzą się te panie, które sądzą, że na twarzach ich nie widać blanszu, różu, ołówków; wszystko to w oczy bije, okrywając je śmiesznością. Każdemu przychodzą na myśl dzikie kobiety, malujące się różnemi barwami, przekalające wargi i nozdrza w przekonaniu, że je to upiększa. A co to za upokorzenie dla kobiety, gdy ludzie spostrzegają, że chce się wydać piękniejszą, niż jest w rzeczywistości.

Ale zapowiedziałam, że wam moralów prawić nie będę, wracam więc do mego opowiadania. Pewnego dnia pojechaliśmy z cicią odwiedzić parę osób nieznanych mi jeszcze, bo ciocia odnawiała dawniejsze, zaniedbane stosunki, ażebym ja była zapraszana na liczniejsze zebrania i zabawy. Wybierała domy, gdzie zwykle urządzano wesołe baliki i rauty, sama też zapowiedziała u siebie wieczorki co dwa tygodnie, czego dawniej nigdy nie bywało. Odbyliśmy ze trzy wizyty króciutkie, ceremonialne, jak nakazuje zwyczaj wielkoświatowy; sądziłam, że już do domu pojedziemy, gdy ciocia, wsiadając do powozu, jakgdyby sobie w ostatniej chwili coś przypomniała, rzekła do stangreta:

— Na ulicę Długą, Nr. X, do państwa mecenasów N.

(d. n.)

## Jak ludzie istotną postać ziemi poznali?

Skreślił

Stanisław Kramsztyk.

### III.

Obserwacje te zatem świadczą wymownie, przekonywają nas, że ziemia skrzywiona jest, zaokrąglona w kierunku z północy ku południowi; dzieje się tu bowiem zupełnie jak z robaczkami wędrującymi po pomarańczy. Mówiliśmy tu wszakże tylko o tych, co oddalają się od nas na południe; a cóż nam donoszą ci, co jadą daleko na wschód lub na zachód, do Chin, do Ameryki północnej, na ocean Spokojny, jakież oni nowe dostrzegają gwiazdy? Otóż, podróżnicy ci nie odkrywają zgoła gwiazd nowych, w ciągu całej swej wędrówki widzieć będą też same gwiazdy, które i u siebie w domu, we własnym kraju znali; czyż więc ma to znaczyć, że ziemia w kierunku tym, od wschodu ku zachodowi, nie jest skrzywioną, kulistą, jak z północy ku południowi? Bynajmniej — pochodzi to stąd tylko, że kto chce dojrzeć gwiazdy rozłożone na wschodniej względem nas stronie nieba, nie ma zgoła potrzeby na ich spotkanie na wschód się udawać — niech zaczeka tylko, a gwiazdy te w ciągu nocy same do niego przybywać będą — wynurzają się wciąż nad poziom, wznoszą na niebie i po drugiej znów stronie zachodzą. Komu podczas ciemnej nocy żal słońca, czyż będzie za niem na zachód pędził, skoro wie, że za kilka godzin promienna gwiazda dzienna ukaże się znów na niebie od strony wschodniej. Tak samo wszakże jak słońce, tak też wschodzą i zachodzą inne gwiazdy po swych drogach podróżują codziennie od wschodu ku zachodowi, tak jakby to rzeczywiście całe sklepienie niebieskie dokoła ziemi wirowało. Podróże więc na wschód i na zachód nowych nam gwiazd nie odsłonią, ze wszystkiemi bowiem możemy zabrać znajomość, wcale zakątka swego domowego nie opuszczając.

W inny wszakże sposób wschód i zachód gwiazd a w szczególności wschód i zachód słońca da nam dowód, że

ziemia zaokrąglona jest i w kierunku wschodnio-zachodnim, do wyjaśnień zaś tych posłużą nam i teraz robaczki nasze.

Przebywają one znów na ćwiartce papieru, którą, dajmy, umieściliśmy w pewnej wysokości ponad stołem. Na stole tym płonie wprowadzie świeca, światło jej wszakże nie oblewa górnej strony papieru, mieszkanie więc robaczek pokryte jest ciemnością. Wtedy podnosimy świecę zwolna w górę, aż płomień jej wysunie się ponad papier, a w tej chwili jasność rozlega się po jego powierzchni: wszystkie naraz robaczki świecę dostrzegają, wszystkim naraz się ona ukazuje, blask świta dla wszystkich, wszystkie go razem witają. Przesuwamy świecę ponad papierem i po drugiej jego stronie znów ją zwolna obniżamy; płomień usuwa się przed wzrokiem wszystkich mieszkańców papieru, dla wszystkich niknie współcześnie, cała powierzchnia górna papieru naraz tonie w ciemności, a wszystkie robaczki razem do snu się układają. — Jeżeli natomiast robaczki nasze mieszczą się na pomarańczy, na jakiegokolwiek bryle kulistej, objawy te zachodzą inaczej. Gdy świecę dokoła tej kuli oprowadzamy, oświetlamy kolejno różne jej strony; gdy jednym robaczkom widno, innym jest ciemno; gdy jednym płomień właśnie się ukazuje, dla innych niknie w tejże chwili; gdy jedne się budzą, inne współcześnie zasypiają. W każdej zaś chwili jedna połowa całej powierzchni kuli rozjaśniona jest blaskiem świecy, gdy połowa druga kryje się w cieniu.

Ależ świecą podobną jest dla nas słońce. Gdyby ziemia płaską była, słońce dla wszystkich jej mieszkańców wschodziłoby współcześnie i współcześnie zachodziło, wszyscy razem mieliby dzień i wszyscy razem noc, w jednej i tejże samej chwili witanoby wszędzie brzask dzienny, wszędzie żegnanyby razem bryłę słoniczną. Ale właśnie inaczej dzieje się na ziemi; gdy nam w Europie słońce świeci, dalekie okolice Ameryki, wyspy oceanu Spokojnego mają w tymże czasie porę nocną. Gdy zegary w Warszawie południe wskazują, w Paryżu jest dopiero jedenasta, w okolicach Moskwy już pierwsza; w Moskwie zatem weszło słońce o godzinę wcześniej, w Paryżu o godzinę później aniżeli u nas. Nie razem ale kolejno, jedni po drugich, różni mieszkańcy ziemi budzą się i zasypiają.

Kulistość więc ziemi, skrzywienie jej zarówno północno-południowe, jak i wschodnio-zachodnie, poznaliśmy z objawów niebieskich, z obserwacji gwiazd i słońca. Ale na księżycu nawet wyczytał Arystoteles, że ziemia ma postać kulistą, przekonały go bowiem o tem zaćmienia księżyca.

Niedawno właśnie zaćmienie takie miało miejsce, każdy mógł je obserwować. Wczesnym wieczorem, w chwili właśnie, gdy zachodziło słońce, wynurzył się od wschodu księżyc w pełni, ukazując nam tedy pełną, okrągłą swą tarczę. Wkrótce potem brzeg księżyca uległ ściemnieniu, a zwolna czarna plama coraz większą część tarczy księżycowej zajmowała, coraz węższy pozostawiając jej skrawek. Wiedział zaś już Arystoteles, o czym dziś każdy z nas wie dobrze, że czarna ta plama jest to cień rzucony przez ziemię. Jak bowiem każde ciało nieprzezroczyste, z jednej strony oświetlone, pozostawia poza sobą ciemną smugę, tak też i ziemia, oświetlona przez słońce, ciągnie za sobą cień bardzo długi, a skoro księżyc w cień ten wkroczy, zostaje pozbawiony oświetlających go promieni słonecznych i następuje zaćmienie księżyca.

Każdemu wiadomo, że postać cienia, rysującego się na przegrodzie, zależy od kształtu przedmiotu, który cień ten rzuca, a cień kuli, padający na ścianę przeciwną, jest zawsze okrągły, kołowy. Otóż, gdy tarcza księżyca jest częściowo zaćmiona, część ciemna od jasnej oddzielona jest zawsze łukiem koła; stąd więc wznosi Arystoteles, bryła ziemską, która cień ten rzuca, kulą być musi.

(d. c. n.)



# DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dokończenie).

— Miłościwy panie, posiwiąłem, siły i zdrowie sterałem w służbie Waszej królewskiej mości. Falszywi oskarżyciele mnie i braciom moim zabrali wszystko, cośmy posiadali. Odkrywszy tyle wysp i lądów dla prześwietnej korony Aragonii i Kastylii, sam nie posiadam ani jednej piędzi ziemi, któraby była moją własnością. Jestem chory, często nie mam gdzie głowy skłonić a tak ubogi, że mi brak grosza, ażeby nędzne

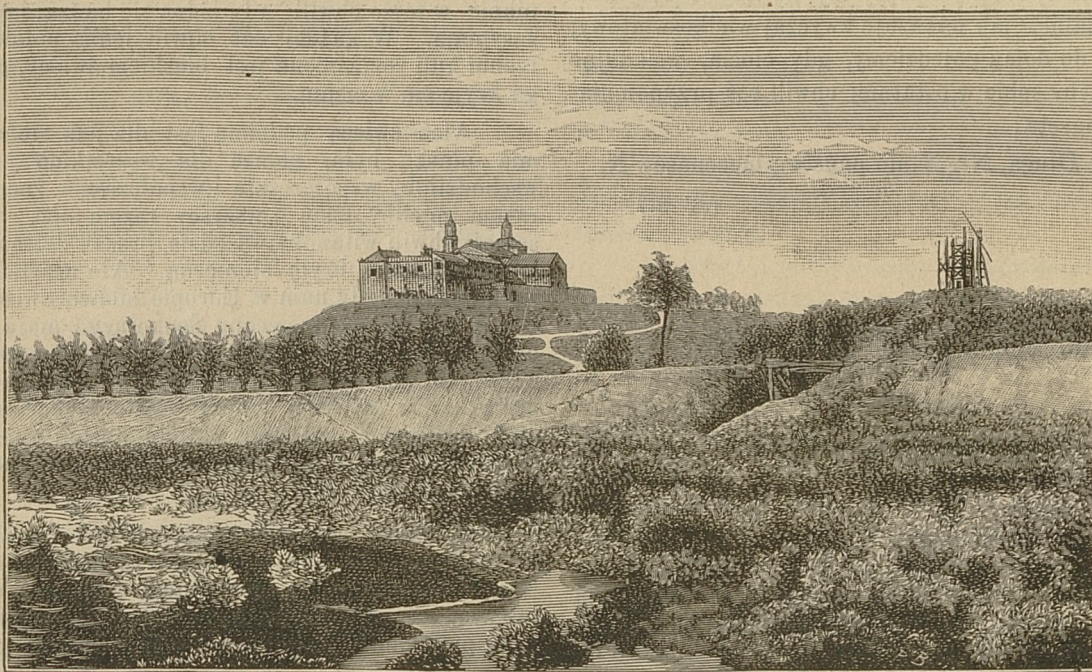
już niema ani łez ani smutków, gdzie niema zawodów, niesprawiedliwości, ani rozstania....

Kronika miejska ani wspomniała o zgonie człowieka, któremu Hiszpania i cała ludzkość zawdzięczały tyle.

Zwłoki pogrzebano u Franciszkanów w Valladolid. Dobrzy zakonnicy z klasztoru la Rabida, którzy Kolumba za życia krzepili radą i pomocą, oddali mu ostatnią posługę.

Po siedmiu latach przeniesioną została trumna wielkiego żeglarza do klasztoru Kartuzów, na jedno z przedmieść Sewili na prawym brzegu Gwadalkiwiru.

W r. 1536 ze stolicy Andaluzji przewieziono zwłoki do San Domingo, gdzie w kościele katedralnym najdawniejszego biskupstwa w Ameryce złożone zostały z honorami należnymi wice-królowi.



Widok klasztoru la Rabida w którym przemieszkiwał Kolumb.

kupić pożywienie. — O smutnym losie swoim uwiadomiam miłościwego pana. Każdy dobry chrześcianin zapłakałby nad moją dolą...

Taki list napisał Kolumb do króla Ferdynanda, list ten pozostał bez odpowiedzi. To pogardliwe milczenie króla było zabójczym ciosem dla naszego żeglarza.

Cierpiał dotkliwą nędzę. Za dumny był aby prosić o pomoc dawnych swoich opiekunów a hrabiostwo de Lhera przebywali we Francji. Więc życie ze schorzałego i zniszczonego starca uciekało szybko.... szybko....

Dwudziestego maja 1506 roku, admirał oceanu, wice-król Indyj, w Sewilli w izdebce ubogiej oberży spoczywał na tapczanie i ubrany w habit franciszkański przyjmował ostatnie Sakramenta. Otaczało go kilku wiernych przyjaciół, jak on sam ubogich i rozpaczający syn — Diego.

— Sprawiedliwość umiłowalem, niesprawiedliwością się brzydziłem! — powtarzał Kolumb gasnącym głosem....

W samo południe dusza wielkiego człowieka i pełnego wiary gorącej chrześcianina uleciała do owych krain, gdzie

Kiedy w r. 1795 Hiszpania odstąpiła Francji San Domingo, zabrane ztamtąd popioły Kolumba złożono na Kubie, w Hawannie, w stolicy tej perły Antilli, w katakumbach katedry, gdzie spoczywają do dziś dnia.

Po śmierci Krzysztofa Kolumba Wincenty Pinzon, niegdys komendant Pinty, a brat zazdrosnego Alonza, Ojeda hiszpan, świetny rycerz z przydomkiem „najpierwsza lanca Hiszpanii”, który tylko jeden raz na turniejach był pokonany przez hrabiego de Lhera i Ameryk Wespucyusz, kupiec florencki, razem przedsięwzięli podróż szlakiem już przez niego wskazanym.

Od wybrzeży zatoki Perłowej zapuścili się w głąb lądu. W zamian za świecidełka, paciorki i tym podobne drobiazgi otrzymali od krajowców złoto oraz drogocenne perły, w wielkiej tutaj poławiane obfitości. Zbogacili się w pędce, a wróciwszy do Europy, Ameryk zebrane w podróży notatki i spostrzeżenia uporządkował i w roku 1508 wydał bardzo rzeczwiście dokładny i ciekawy opis Nowego świata.

Książka rozeszła się po całej Europie i obudziła ogólne





Kościół katedralny w Hawannie mieszczący grobowiec Kolumba.

zajęcie. Pewien uczony niemiecki wniósł, aby na cześć autora nową część ziemi nazwać Ameryką. Nazwę tę zatem przyjęto ogólnie, wyrządzając tem krzywdę wielkiemu odkrywcy tych wysp i lądów, Krzysztofowi Kolumbowi.

## SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Przy pracy czas mijał szybko, lata nauki skończyły się wreszcie i Hubert został wyzwolony na czeladnika. Uroczystości wyzwolin towarzyszyły wtedy dość szczególne zwyczaje: starsi czeladnicy otaczali kołem przyszłego towarzysza i jeden

z nich miał do niego komiczną, rubasznymi żartami naszpikowaną przemowę, której należało wysłuchać z uszanowaniem. Następnie wylewano mu na głowę kilka szklanic piwa, dawano sporo szturchańców, wysuwano z pod niego krzesło, poczem wreszcie dostępował zaszczytu należenia do cechu. Wyszedłszy ze wszystkich tych prób zwycięsko, Hubert czuł się wreszcie wolnym, niezależnym człowiekiem, który może żyć z pracy rąk swoich i przed którym świat cały stoi otworem.

W parę dni potem, pożegnawszy wszystkich swoich przyjaciół, Hubert opuścił Norymbergę. Ze łzami w oczach podziękował Sachsovi i jego żonie za pocziwą opiekę, jaką go do ostatniej chwili otaczali, bo przy pożegnaniu jeszcze Sachs zaopatrzył go w pieniądze na drogę, a pani Kunegunda wręczyła mu tłończonek zawierający nowe ubranie i bieliznę.



## VI.

## P O W R Ó T.

Wędrowka pełna przygód i niespodzianek wiele korzyści przynieść może młodzieńcowi, którego umysł umie cenić piękno, w sztuce i przyrodzie, a charakter opiera się na silnych, niewzruszonych zasadach. Nie dziw więc, że Hubert chętnie wędrował ze wsi do wsi, z miasta do miasta, tu i owdzie zatrzymując się dłużej aby odpocząć i zarobić trochę grosza na dalszą podróż. Imię jego majstra, Hansa Sachsa, otwierało mu wstęp do warsztatu każdego szewca, a przebywszy tam kilka tygodni, zarzucał tłoczek na plecy i ruszał dalej. Podróżny nasz nie opuszczał sposobności zwiedzenia wszystkich większych miast: wstąpił też i do Augsburga i odwiedził tam panią Fleisingerową, ową staruszkę, której udało mu się odwzajemnić za doznaną w jej domu gościnność. Mieszkała ona teraz wraz z synem, który powróciwszy do domu był już posiadaczem własnego warsztatu i szczęśliwym ojcem rodziny. Hubert nie zapomniał też o poczciwym węglarzu, a oni oboje ucieszyli się szczerze, zobaczywszy jak szczęśliwie powodziło się przez ten czas biednemu chłopcu, który przed laty nawiedził ubogą ich izdebkę. Najdłużej zatrzymał się wędrowiec nasz w Wittemberdze, przebywając często u Łukasza Cranacha, w domu którego był mile widzianym gościem. W wędrowce swej ominął on tylko jedno miasto a mianowicie rodzinny Erfurt, lękając się bowiem czy potrafi ojca przebłagać, nie miał odwagi stanąć przed jego obliczem.

Pięć lat ciąglej wędrowki jak sen mu upłynęło. Wiele życzliwości ludzkiej doznał, wiele miłych wspomnień zachował a jednak z radością ujrzał błyszczące w dali wieże Norymbergi, gdzie znajdował się kres jego podróży i gdzie zostawił tyle osób sercu drogich. Przez cały ten czas nie miał od nich żadnych wieści; wiedział tylko, że Hans Sachs posiadający już sławę pierwszorzędnego meistersingera żyje dotąd, że zegarki Piotra Hele cieszą się ogólnym uznaniem i że Albrecht Dürer znalazł w mogile spokój, za którym napróżno tęsknił życie całe. Z bijącym sercem wszedłszy do miasta, Hubert zwrócił się wprost ku owej pamiętnej studni, chcąc przede wszystkim uprzytomnić sobie chwilę, w której poraz pierwszy poznał Elżbietkę i która rozstrzygnęła o całym jego losie.

Szоста godzina rano biła na wieży św. Sebalda, gdy doszedł do studni, naokoło której i teraz stały dziewczęta, napełniając wodą miedziane dzbanuszki. Przybliżył się i podstawił rękę chcąc zwilżyć spieczone usta, gdy nagle usłyszał poza sobą okrzyk przerażenia. Odwróciwszy się spostrzegł, że wszystkie dziewczynki skupiły się naokoło jednej, która wracając z pełnym już dzbankiem przechylić go musiała i od stóp do głów oblała się wodą. Hubert spojrzął na nią uważniej... Czyżby to było złudzenie wyobraźni?... O nie! serce żywo mu zabiło, gdy w pięknej, dorosłej już dziewczynie poznał dawną towarzyszkę lat młodzieńczych.

— Elżbietko! Elżbietko! — zawołał z radością.

Rozśmieszona dziewczęta rozstąpiły się, spoglądając ze zdziwieniem na nieznanego.

Elżbieta obtarła twarz spryskaną wodą i podniósłszy oczy wykrzyknęła.

— Hubert! To ty Hubercie! Nareszcie więc wróciłeś do nas szczęśliwie?

— Hubert! dawny uczeń pana Sachsa! — chórem zawołały dziewczęta, otaczając młodego wędrowca, którego jedne z nich znały dawniej osobiście, inne znów z opowiadań Elżbietki. Ucieszony tak serdecznym powitaniem, Hubert dziękował im za życzliwość i wraz z całym gronem podążył ku miastu.

Sachs i jego żona powitali go również serdeczne i przez dwa następujące miesiące pracował u nich jako czeladnik. Sachs z prawdziwą radością patrząc na zręczną i wprawną robotę dawnego ucznia, oznajmił mu po upływie tego czasu, że należałoby pomyśleć o wykonaniu przepisanego zwyczaju „meisterstücku”.

Uroczystość ta odbyła się najpomyślniej i Hubert przy pomocy Sachsa i innych przyjaciół, został właścicielem własnego warsztatu.

W kilka lat potem, Hubert ubogi dawny czeladnik szewcki, dziś znany powszechnie majster, był już szczęśliwym mężem Elżbietki i ojcem maleńkiego syna. Zdawałoby się, że teraz nic już nie brak mu było do szczęścia, a jednak od chwili przyjścia na świat synka, Elżbieta spostrzegała coraz częściej wyraz głębokiej zadumy na twarzy męża. Nieraz stojąc nad kołyską zamyślał się głęboko i śpiesznie odwracał głowę, gdy młoda matka pokazywała mu z zachwytem, jak rozkosznie maleństwo się uśmiecha. Zaniepokojona tem zapytywała kilkakrotnie, co jest przyczyną jego smutku? ale otrzymując zawsze wymijającą odpowiedź, zaniechała wreszcie pytań w nadziei, że czas dopomoże jej do rozwiązania tej zagadki.

W przeddzień chrzcin chłopczyka, którego rodzicami chrzestnymi mieli być Piotr Hele i pani Kunegunda, oboje małżonkowie siedzieli razem pilnie zajęci robotą. Hubert naprawiał buty, Elżbietka kończyła szyć kołderkę, którą miano nakryć dziecko nazajutrz.

— Hubercie — odezwała się młoda kobieta — czy wybrałaś już imię dla naszego synka?

— Tak — po chwili wahania odparł zapytany.

— Powiedz-że mi jakie. Może nazwiemy go Piotr jak ojciec, albo Hans jak pan Sachs?

— O nie! nie! — zaprzeczył Hubert.

— To może będzie nosił twoje imię? — nalegała Elżbieta, kładąc robotę na kolanach i z ciekawością spoglądając na męża.

— Nie, Elżbietko. Chciałbym — Hubert znów umilkł.

— Ciekawam, jakie imię wybrałaś? Ja na każde chętnie przystanę i każde wyda mi się ładnem.

— Dajmy mu imię Tomasz — rzekł wreszcie Hubert, schylając głowę nad robotą, aby ukryć wzruszenie.

— Tomasz! — zawołała Elżbieta. — Dlaczegoż wybrałaś to imię?

— Bo to jest imię mego ojca — cicho odrzekł Hubert, i natychmiast wyszedł z pokoju aby uniknąć dalszych zapytań żony.

Elżbieta westchnęła głęboko. Teraz rozumiała już przyczynę smutku męża, wiedziała, że boleje on nad tem, iż błogosławieństwa ojca nie otrzymał. Smutnie zwiesiła głowę nie mogąc znaleźć sposobu zaradzenia złemu.

Poraz trzeci od przyjścia na świat małego Tomcia nadchodziła Wielkanoc, którą tego roku obchodzić miano w Norymberdze z niezwykle uroczystością. W Wielką Sobotę państwo Sachs przyszli na chwilę do młodych małżonków, bo pani Kunegunda chciała własnoręcznie oddać Elżbietce upieczone dla niej ciasto. Serdecznie radzi gościom oboje z Hubertem zatrzymali ich u siebie na wieczerzę. Głównym przedmiotem rozmowy były zabawy, jakie miały odbyć się nazajutrz.

— Ho! ho! jak to będzie wesoło! — mówił Sachs, siadając za stołem i stawiając przed sobą kufel piwa.

— Słyszałem, że zobaczymy jutro pochód *długobrodych* — wtrącił Hubert.

— Tak jest, pochód *długobrodych* zgromadzi pewnie tłumy ludzi na ulicy — odparł Sachs. — Weź z sobą malca — dodał uśmiechając się do Tomcia — niech i on się przypatrzy.

— Powiedzcie mi panie, skutkiem czego powstała ta zabawa i dlaczego dano jej tak dziwną nazwę? — zapytał Hubert.

— Chętnie ci to objaśnię, jeżeli nasza gospoia doleje mi trochę piwa — z uśmiechem odrzekł Sachs, podając swój kufel Elżbiecie. — Otóż zwyczaj ten datuje od 1349 r. i nie bywa obchodzonym w żadnym innym mieście prócz Norymbergi.

— Jeżeli się nie mylę, w tym właśnie roku mieszczanie tutejsi podnieśli bunt przeciw burmistrzowi i rajcom — zauważył Hubert.



— Istotnie, zbuntowany lud złożył z urzędu całą radę miejską i wybrał nowych członków z pośród siebie. Ale ówczesny władca Niemiec, cesarz Karol IV, posłyszawszy o tych rozruchach, nadszedł z licznym wojskiem, bunt uśmierzył a głównych hersztów kazał powiesić dla postrachu.

— Ale cóż jest wspólnego pomiędzy całym tem opowiadaniem a zabawą, o której mówiliśmy? — pytała pani Kunegunda.

— Bądźże cierpliwą, moja żono — odrzekł Sachs — przerwałaś mi wątek myśli. Otóż cesarz przywróciwszy dawnych członków rady dowiedział się, że rzeźnicy i kowale nie należeli do buntu i pozostali wiernymi władzy.

— Jakto? a szewcy stanęli po stronie zbuntowanych? — z uśmiechem spytała Elżbieta.

— Tak było, niestety! — odrzekł Sachs — największych jednak okrucieństw dopuścili się krawcy, ludzie niespokojni i lekkomyślni, którzy zwykle najpierwsi wszczynają rozruchy.

— Mamy tego dowód i teraz — wtrącił Hubert — bo krawiec holenderski Jan Bockold z Lejdy stoi na czele niespokojnej sekty Anabaptystów.

— Czyż ja nigdy się nie dowiem, co ma wspólnego opowiadanie wasze z zabawą jutrzejszą? — poraz drugi spytała pani Kunegunda.

— Dowiesz się, jeżeli zdobędziesz się jeszcze na chwilkę cierpliwości — spokojnie odrzekł Sachs. — Otóż w nagrodę za okazaną wierność cesarz Karol pozwolił kowalom i rzeźnikom urządzić zabawy podczas świąt Wielkiejnocy.

— Aha! teraz właśnie dochodzimy do rzeczy — szepnęła Elżbietka, z lekka trącając panią Kunegundę.

— Dochodzimy do rzeczy — potwierdził Sachs — bo ta właśnie zabawa odbędzie się jutro. Z początku stanowiła ona wyłączny przywilej rzeźników i kowali, następnie jednak inne cechy za cenę olbrzymich sum zdobyły prawo przyjmowania udziału w tej zabawie, która otrzymała dziwną swą nazwę, stąd prawdopodobnie, że uczestnicy występują najdziwaczniej poprzebierani.

— Czy pan będzie należał do orszaku? — spytała Elżbieta, zwracając się do Sachsa.

— Nie, wolę przyglądać się zabawie — odparł zapytany — Sądzę, że i wy także wyjdziecie z domu, będzie na co patrzeć.

— Tak, Hubercie, musisz pójść koniecznie — rzekła Elżbieta.

— I ja chcę pójść! — prosił z płaczem mały Tomcio.

— Pójdiesz, moje dziecko — uspokajała go matka — pójdziecie obaj a ja zostanę w domu z ojcem, który od wczoraj czuje się niezdrów.

— Możeby Ańdzia została przy ojcu — rzekł Hubert. (Ańdzia była to uboga dziewczynka wspierana przez Elżbietę).

— Nie, Ańdzia musi pójść do matki, zdaje mi się, że dni tej biednej kobiety już są policzone. Nie troszczcie się o mnie — mówiła dalej Elżbieta — widziałam raz już tę zabawę, zresztą opowiecie mi potem wszystko coście widzieli i będę zupełnie zadowolona.

Dalszą rozmowę przerwało podanie wieczerzy, po której matka położyła Tomcia, pozostali zaś długo jeszcze gawędzili o jutrzejszej zabawie.

Na ulicach wrzało już jak w ulu, gdy wczesnym rankiem Hubert wychodził z synkiem z domu.

— Pilnujże dziecka, aby nie zginęło w tłumie — upominała go żona.

Hubert przyrzekł strzedz syna jak żrenicy własnego oka, Tomcio obiecał być bardzo grzecznym, poczem obaj oddalili się. Doszedłszy do jednej z głównych ulic, przez którą orszak miał przyciągać, Hubert stanął na rogu, dziecko zaś postawił na kamiennym słupie, jakimi w owej epoce ozdabiano zakręty ulic.

Po długim oczekiwaniu podczas którego Tomcio niepomny danej obietnicy, grymasić już zaczynał, rozległ się wreszcie okrzyk:

— Idą już! idą.

Tysiące głów zwróciło się w stronę, z której orszak miał się ukazać; tłum wzrastał z każdą chwilą, zbijając się w jedną zwartą masę. Hubert silnie objął wół synka, który wspierał się na paluszkach i jak mógł najwyższej podnosił głowę aby wszystko zobaczyć. Najpierw ukazała się przednia straż Długobrodych: byli to chłopcy czerwono, niebiesko i zielono poubierani, uzbrojeni w lekkie lance, któremi wśród tłumy torowali drogę dalszemu orszakowi. Przerażony tym widokiem Tomcio skrzywił się już do płaczu, niebawem jednak uspokoił się znowu, bo straszni gońcy popędzili dalej, ustępując miejsca innym, równie jaskrawo poubieranym. Ci chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie sprawione przez swych poprzedników, wyprawiali najzabawniejsze skoki i rozrzucali w około orzechy ku wielkiej uciechu widzów, którzy je w lot chwyтали. Tomcio nie posiadał się teraz z radości, bo jakiś starszy chłopiec, dzięki silnym swym pięściom zdobywszy jeden orzech, oddał go dziecku. Po chwili głośny okrzyk zachwytu wyrwał się z piersi widzów; środkiem ulicy jechali konno młodzieńcy bogato ubrani w jedwabie i aksamity. Jechali stępa aby wszyscy mogli się im przypatrzeć i paniom siedzącym w oknach rzucali pięknie pomalowane jajka, napełnione wodą różaną. Szczęśliwy Tomcio podniósł takie jajko, które na słup upadło i z dumą pokazywał je ojcu; ten jednak od kilku minut zapomniał o pięknej uroczystości, gdyż całą jego uwagę zajęli dwaj czeladnicy, stojący nieopodal. Z bijącym sercem Hubert słuchał jednego z nich, jak opowiadał, że przez kilka miesięcy bawiąc w Erfurcie, pracował u majstra Krempla i z wielką goryczą czasy te wspominał.

— Okropny to był dziwak i złoźnik — z uśmiechem mówił czeladnik — ileż to razy odprawiał z kwitkiem gości. Niech tylko kto żądał aby mu zrobiono modny hiszpański strój, natychmiast majster zaczynał warczyć jak pudel, twarz wykrzywiała mu się od ucha do ucha i dopiero rozpoczynało się kżanie.

— Dlaczegożes go nie rzucił wcześniej? — pytał drugi.

— Dlatego, że nie było lepszego nad niego człowieka, jeżeli nie był rozdrażniony. Powiadam ci, że wtedy choć go do rany przyłożył.

Dźwięki zbliżającej się hucznej muzyki uniemożliwiły dalszą rozmowę. Teraz nadciągał właściwy orszak Długobrodych: za chorągwią cechu rzeźnickiego szło 42 czeladników w maskach, z długimi przyprawionemi brodami: jedni z nich nieśli siekiery i topory, inni znów skórzane rzemienie pozwijane w pierścienie jak kiełbasy. Tłum rozstąpił się nieco, muzyka głośniejsz zabrzmiała, a czeladnicy rozpoczęli tańiec na placu, wywijając skórczanemi rzemieniami.

Z trudnością udawało się Hubertowi utrzymać malca, który klaskał w ręce z radości i podskakiwał tak, że kilka razy o mało nie spadł ze słupa. Po chwili do uszu jego doszedł znów głos czeladnika, który korzystając z ciszy po skończeniu tańca, podjął przerwana rozmowę:

— A jednak — mówił z westchnieniem — żałowałem go szczerze, gdy zamknął oczy na zawsze, bo pomimo tylu dziwactw był to bardzo uczciwy i zacny człowiek.

— Więc ten nieprzyjaciel dzisiejszej mody już nie żyje? — pytał drugi.

— Nie, moda ta właśnie stała się przyczyną jego śmierci.

— Żartujesz chyba ze mnie! to być nie może! — ze zdziwieniem zawołał tamten.

— A jednak tak było. Martwił się, martwił coraz więcej, aż wreszcie dostał żółtaczkę i po dziewięciu dniach... — dźwięk muzyki zagłuszył dalsze słowa.

— Kowale! kowale! — wołano ze wszystkich stron. Rzeźnicy usunęli się nieco, ustępując miejsca młodym, wysmukłym kowalom, którzy nieśli w rękę młoty i długie, błyszczące sztaby żelaza. Przed nimi także biegli dziwnie poprzebierani chłopcy, wywijając zielonemi gałązkami aby utworować drogę kowalom, którzy mieli tańczyć na placu. Widok ten zajął na chwilę Huberta, który z podziwem patrzył na zręczność, z jaką kowale uderzali młotem o młot i przeskakiwali przez ciężkie sztaby żelaza. Nie mógł on jednak na długo skupić uwagi, nie cieszył się nawet radością dziecka,



gdyż znowu usłyszał głos owego czeladnika i serce ścisnęło mu się obawą, czy teraz nie dowie się innych, smutniejszych jeszcze wieści.

— Pytasz się, czy znałem w Erfurcie więcej takich dziwaków?... Przypominam sobie jednego, który pod tym względem nie ustępował wcale memu panu. Nie pamiętam jego nazwiska, wiem tylko, że był właścicielem oberży.

(d. c. n.)

### SZARADY W OBRAZACH.

Jedną z miłszych rozrywek towarzyskich dla młodzieży są szarady w obrazach. W mowie naszej znajdziemy mnóstwo wyrazów, których poszczególne sylaby dadzą się przedstawić obrazowo. Weźmy np. wyraz: *pierogi*.

W jednej połowie miejsca przedstawiającego scenę, ukazuje się oczom widzów siedząca przed lustrem osoba z twarzą piegami osypaną. Piegę przedstawić można przyklepiając na twarz gumą centki z orzechowego papieru, które owa osoba może się starać zacierać pudrem z gestami wyrażającymi żalność, że się widzi tak zeszepeconą.

Druga połowa sceny przedstawi się wiejskiego dworu, o ścianie zawieszonych rogami jeleni, łosi, kozłów i t. p., które mogą być wykrojone z tektury, odpowiednim kolorem pomalowane. Gdy już wszystko gotowe, występuje z pomiędzy widzów osoba objaśniająca przedstawienie i wskazując na pierwszą połowę sceny mówi: To sylaba pierwsza i trzecia (pie-gi) a na drugą: To sylaba druga i trzecia (ro-gi). Po chwili w której widzowie powinni się starać odgadnąć znaczenie tych sylab, wnoszą na scenę tacę z różnego rodzaju pierogami wielkimi i małymi, podługowate, okrągławe, także wyciętymi z tektury, a chociaż aktorowie woleliby zapewne aby to były rzeczywiste pierogi, a jeżeli widzowie po chwili jeszcze nie odgadli szarady, osoba objaśniająca wskazując na tacę mówi: oto moje wszystko.

Z wyrazów *tatarak* łatwo także ułożyć można obrazy; mężczyzna otoczony gromadką dzieci różnego wieku, to *tata*. Dobry tatuś jedno dziecko trzyma na kolanach, drugie tuli do boku ramieniem, trzeciemu pokazuje litery. Tu już wyobraźnia aktorów własnymi wspomnieniami wsparta, szerokie na przed sobą pole do odtworzenia obrazu tak, aby o znaczeniu jego nikt nie wątpił. Bez powątpiewania także odgadnie każdy koniec wyrazu, gdyż obrzumi *rak* tekturowy na wielkim białym półmisku sam za siebie mówić będzie. Wiejska dziewczeczka rozsypująca po podłodze liście tataraku, które w ziemi można powycinać z zielonego papieru, skleiwszy dwa arkusze w jeden białymi stronami. I tu objaśnić należy co przedstawia sylabę pierwszą, co drugą, a co wszystko. Serwety są także wyrazem podatnym do szarady. Pierwszą sylabę przedstawi ser zwyczajny leżący na desce, obok którego krzątać się można, już to ustawiając garnki kwaśnego mleka, już gotowy twaróg odcedzając w worki, które kładą się pod prasę. *Wety* za to, to już wytwór wykwintnej cywilizacji: przy pięknie zastawionym stole siedzą goście, przed nimi owoce i łakocie, jakie bujnej fantazy aktorów na myśl przyjdą.

Całość przedstawiać może szwalnię: kilka dziewczynek zajętych robotą, ta obrębia serwety, ta je naczy, ta gotowe już układa w tuziny i wstążeczkami wiąże: odrazu każdy będzie wiedział, o co chodzi. W podobny sposób można także użytkować treść bajek, którą się przedstawia przy pomocy mimiki i odpowiedniego ucharakteryzowania. Weźmy np. bajkę: „Kotek kulawy szedł sobie drogą” albo „Idę ulicą Miodową”, jaki wdzięczny się da utworzyć z tego obrazek. Jeżeli czytelnikom naszym podoba się projekt, który już obecnie podajemy, prosimy niech nas zawiadomią, w jaki sposób wprowadzili go w wykonanie. Więcej pomysłów mogą oddać przysługę tym, którym trudniej zdobyć się na pomysł, my zaś szczerze będziemy zadowoleni, jeżeli nam się uda dostarczyć naszym czytelnikom nowego sposobu zabawienia się w rodzinnym gronie. Dla tego prosimy o podanie nam wraz z ich opisem wyrazów, z których tworzyć można szarady w obrazach. Gdy się okażą odpowiednie do przedstawienia, drukowane będą w *Wieczorach*.

### KSIEGARNIA

### TEODORA PAPROCKIEGO I S-ki

WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT NR. 41.

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rs. k.
<b>Amicis Edmund de.</b> Ze szkoły i z domu. Przełożyła z włos. Marya z Siemiradzkich Obrąpalska . . . . .	1 50
<b>Beecher - Stowe.</b> Podjadki szczęścia rodzinnego. Opowiadanie. Z przedmową Estei . . . . .	— 75
<b>Belcikowski Adam.</b> Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma. Studium literackie . . . . .	1 80
<b>Bert Paweł.</b> Początkowa nauka przyrody dla młodzieży. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Z 520 drzew. w tekście . . . . .	1 80
<b>Bleibtreu Karol.</b> Napoleon. Studium historyczne. Spółczył Adam Nowicki. . . . .	1 50
<b>Haufe E. d-r.</b> Dziecko i rodzina. Wskazówki kształcenia domowego dla matek . . . . .	1 —
<b>Helipern M.</b> Tajemnica przyrody. Cz. II. Jak żyją rośliny. jak się odżywiają, rosą, rozmnażają i poruszają . . . . .	2 —
<b>Historya naturalna w obrazach.</b> Cz. II. Botanika i mineralogia w 269 kolorowanych obrazkach, z tekstem Feliksa Wermińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic. W oprawie . . . . .	4 —
<b>Krzemiński Stanisław.</b> Krzysztof Kolumb. Przypomnienie życia i zasług . . . . .	— 50
<b>Treadwell F. P. i d-r V Meyer.</b> Tablice do analizy jakościowej . . . . .	2 —
<b>Verne J.</b> Bez przewrotu. Przeł. z fran. Julia Zaleska. . . . .	— 80
<b>Veron Eugeniusz.</b> Estetyka. Przełożył z francuskiego A. Lange. . . . .	3 —
<b>Zeisel S. d-r.</b> Chemia (nieorganiczna i organiczna)- Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznym. 261 drzew. w tekście. Z niem. przeł. M. Flaum . . . . .	5 —

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Opowiadanie p. Augustowej, z rękopisów M. J. Zaleskiej. — Jak ludzie istotną postać ziemi poznali? Skreślił Stanisław Kramsztyk. — Do ziemi nieznaney p. Halinę Tokarzewską dok. (z drzew). — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Szarady w obrazach. Dodatek: Ciekawy Józio p. A. (z drzew.) — W zimie, wiersz p. Romanię Kamińską. — Przygody Iskierki, Perelli i Brylancika. — Łamigłówek i rozwiązania. — Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow.